

Nazywam się Danuta Markowska, z domu Swedus, urodziłam się 21 września 1932 roku w Czortkowie, rodzice moi zamieszkiwali w Bertnikach, ojciec był leśniczym. Rodzina była czteroosobowa, ojciec Władysław, matka Waleria, starszy mój brat Zbigniew i ja.

Pamiętam, że gdy jesienią 1939 r. wkroczyli Sowieci w naszej miejscowości była rzeź. Napadli m.in. na nauczycielkę. Przybiegł do nas przyjaciel ojca, porucznik Iskrzak - miał rozdartą koszulę a z jego piersi spływała krew. Mówił, że pobili go Sowieci i radził nam aby uciekać. Wzięliśmy ze sobą trochę jedzenia i uciekliśmy do Buczacza. Tam byliśmy przez dwa tygodnie. Po powrocie do domu zobaczyliśmy, że wszystko zostało zniszczone, dobytek rozgrabiony przez Ukraińców. Po kilku miesiącach zostaliśmy wywiezieni na Syberię.

W nocy, 10.II. 1940 r. przyszli enkawudyści i kazali nam się ubierać. Władowali nas na wozy konne i odstawili do Buczacza. ~~Tam byliśmy przez dwa tygodnie~~ Działo się to wszystko w nocy. Dzieci płakały, kobiety również. Wraz z naszą rodziną zabrano /z Bertnik/ również rodzinę Izbińskich./matka i sześcioro dzieci/. Ojciec ich był oficerem i jeszcze przed wywózką zajęło się nim NKWD.

Władowano nas do wagonów bydłych - po czterdzieści, czterdzieści pięć osób do jednego. Okna były zakratowane. Pamiętam głosy przyjaciółek mojej matki wywołujących nasze nazwisko. Przynosiły nam w bance mleko czy jakieś inne pożywienie, bo transport nie ruszył od razu. Trwało to parę dni zanim nie załadowali wszystkich ludzi. Ale Rosjanie nie pozwalali nam podać tego pożywienia. Była wielka rozpacz.

Po paru dniach transport ruszył. W wagonach było ciemno i słychać było tylko stukot kół. Żadnych warunków do życia. Gdy dojeżdżaliśmy na jakąś stację to enkawudyści otwierali drzwi i podawali jedno wiadro wody na cały wagon.

Po prawie trzymiesięcznej podróży zajechaliśmy do Krasnojarskiego Kraju, rejon Aban, posesiołek Tulin. Ponieważ to była mała miejscowość więc nie trafił tam cały transport - porozrzucali nas po okolicznych

miejsowościach. Ojciec, jak wszyscy, poszedł do pracy przy wyrębie lasu. Ponieważ jednak był leśniczym - na tamte warunki bardzo wykształconym człowiekiem - więc zliczał Polakom wyrąbane i ociosane kubiki, za co otrzymywał dodatkową zapłatę. Dzięki temu w pierwszych miesiącach nie pomyślimy z głodu. Matka nie miała zdrowia, więc nie dała jej do lasu, tylko pracowała w "dieldomie". Czasami przynosiła nam coś do jedzenia, schowane za pazuchą, ukradzione rosyjskim dzieciom. Za wszelką cenę chciała utrzymać nas przy życiu. Po niedługim czasie ojciec zachorował, nie mógł wogóle chodzić. Opieki lekarskiej ani żadnej innej pomocy nie było, więc matka starała się go leczyć własnymi środkami: pokrzywą czy inną czeremszą. Po powrocie do zdrowia ojciec ponownie podjął ciężką pracę w lesie. My dzieci zaczęliśmy chodzić do szkoły. Mając trochę rzeczy jeszcze z Polski byliśmy jako tako ubrani ale nie na tamte warunki. 45-stopniowy mróz doskwierał dokuczliwie wszystkim. Było tam bardzo wielu Polaków z naszych okolic /powiat Buczac/ ale w niedługim czasie całe rodziny powymierały z wycieńczenia, mrozu i głodu. W naszym osiedle było 5 rodzin polskich. Za pracę w żłobku matka otrzymywała 70 kopiejek dziennie, z czego wynika, że ojciec musiał otrzymywać więcej bez dodatkowej zapłaty. W domu panowały bieda i głód. Zarobki starczyły na wykupienie 0,5 kg przydziałowego chleba na dorosłego pracownika, dziecko pracujące otrzymywało 20 dkg chleba. W przetrwaniu pomagał nam "wspólny kocioł /za opłatą/ w postaci "zupy" szczawiowej oraz czeremszy, po którą chodziliśmy codziennie na zmianę z ojcem.

Stosunki między Polakami były bardzo przyjazne, ale niestety ponieważ nikt nic nie posiadał więc nie mogło być mowy o żadnej większej pomocy.

Mieszkaliśmy w barakach, w strasznych warunkach. Spaliśmy na drewnianych, piętrowych łózkach. Niesamowite zapluskwienie i zawszawienie - dzieci były całe pogryzione. Matki musiały zawijać dziewczynki w jakieś szmaty, bo jakby tego nie zrobiły to dziewczynki wstawały rano całe pokrwawione. Poza tym komary i muszki gryzły nas w dzień. Konieczne było noszenie masek, bo inaczej nie można było tego wytrzymać. Lato trwa

tam bardzo krótko - tylko cztery miesiące, ale w jego trakcie te insekty tak dawały się we znaki, że już chyba lepszy był ten potworny mróz zimą, dochodzący do 45 - 47 stopni.

Wyniszczenie fizyczne, ciężka praca, głód, znęcanie się i bicie przez enkawudzistów /nie wolno było wyjść z baraku na jagody/ sprawiały, że bardzo wielu ludzi umierało. Do tego dochodziły jeszcze choroby, takie jak tyfus i malaria. Gdy polskie cmentarze zapełniały się mogiłkami to w nocy przychodzili enkawudziści - przekopywali je i palili. Mówili nam zawsze, że już nigdy więcej nie zobaczymy Polski, że zginieemy tam jako więźniowie. Mimo zakazu wychodzenia do lasu i tak zbieraliśmy jagody, aby zamrozić je na zimę i przeżyć. I tak żyliśmy jak nędzarze, niewolnicy - silnie strzeżeni przez NKWD.

Ale oto dotarła do nas wiadomość o tworzeniu się armii gen. Andersa. Wszyscy młodzi z ochotą zaciągali się do tego wojska. Rodziny, w których dzieci były starsze szły tam w całości. Mój ojciec nie zdecydował się na to, ponieważ byliśmy jeszcze zbyt mali. Została nas /Polaków/ garstka - pamiętam rodziny Głębów i Zabojów.

I tak dotrwaliśmy do roku 1943, gdy dotarła do nas wiadomość, że formuje się armia kościuszkowska. Zabierali wtedy /do wojska/ wszystkich mężczyzn i zabrali także mojego ojca. Znowu ży rozpacz - zostawiał nas samych tyle tysięcy kilometrów od kraju. Matka niecierpliwie oczekiwała pierwszej wiadomości ale listy dochodziły rzadko /mniej więcej raz na trzy miesiące/, bo po drodze do nas tajga i wszystko "na łoszedzi szło". Matka nadal pracowała w ^{żłobku} ~~szkole~~ i wszystkimi możliwymi sposobami starała się utrzymać nas przy życiu. "Przyjaciele" nie pozwolili nam spokojnie chodzić do szkoły - jako siedmio- czy ośmioletnie dziecko musiałam iść do pracy i zarobić trzy ruble miesięcznie. Ale jakbym nie pracowała to nie dostawałam 20 deko chleba dziennie. Poza tym musiałam wstawać wcześniej rano aby stać w kolejkach, gdyż brat mój pracował jako traktorzysta /dziesięcioletni chłopak/. Byłam gospodynią w domu - moim zadaniem było kupienie chleba - oczywiście gdy były ruble - poza tym

tym musiałam ugotować jakąś zupę ~~z~~ /chodziłam do lasu na jagody, grzyby lub czeremszę/. Gdy skończyły się zapasy odzieży przywiezionej z Polski stanęliśmy przed wielkim problemem. Przy 45 st. mrozie chodziliśmy mając szmatami powijane nogi. Przez cały czas walczyliśmy o przeżycie, matka wciąż nam powtarzała: "Dzieci, jeżeli zginę to pamiętajcie, że jesteście Polakami".

W 1944 r. przeniesiono nas na tzw. "łuczszyje usłowja" do obłasti Woroszyłowgrad, rejon Derengano/??/stanicznyj, sowchoz "Industrija". Jechaliśmy tam dwa miesiące. Aby się wydostać z Tulina musieliśmy pokonać około 600 km, z tego 100 km Jenisejem. Brat sterował a ja z matką ciągnęłyśmy kódkę. Dotarliśmy do Abanu, tam matka miała serdeczną przyjaciółkę, Rosjankę, lotniczkę - Marysię Buk. Zawdzięczaliśmy jej bardzo wiele - to ona pomogła nam wydostać się z tej tajgi /rzuciła z samolotu list: "Czy matka wie, że Polaków zabierają?"/. Nami nikt się nie opiekował. Wraz z nami była jeszcze jedna rodzina - Zaboń, której ojciec pracował i niestety za kawałek chleba zabił człowieka, zabił Niemca. Został skazany na osiem lat więzienia. Matka ich poszła na rozprawę, a moja matka zabrała dwoje dzieci z tej rodziny - Marię i Zdzisławę. Lotniczka, Rosjanka załatwiła nam samochód, który zawiózł nas do Krasnojarska. Po przybyciu do Krasnojarska okazało się, że transport i dla nas i dla wielu innych rodzin, które przybyły zbyt późno zabrakło miejsca. To była późna jesień. Następny transport jechał za trzy miesiące. Przez ten czas żywiliśmy się słonecznikiem, który matka kupowała na targu oraz tym co wygrzebaliśmy z już wyzbiereganego kartofliska.

Po przyjeździe na miejsce okazało się, że łós nasz raczej się pogorszył niż poprawił - nie było tam opału i wody. Była jedna studnia na cały sowchoz, musiałam wstawać o drugiej w nocy i iść do niej 3 km aby stanąć w kolejce. Kto przyszedł zbyt późno musiał czekać do następnego dnia aż studnia się napełni. Żeby uzyskać opał zbieraliśmy krowie łajno, wrywając je sobie, aby potem na nim ugotować sobie coś

do jedzenia. Chodziliśmy z bratem do szkoły a po szkole do pracy, gdyż 20 dkg "pajki" zawsze się przydało. Brat jeździł traktorem, kosił zboże i trawę, ja zaś wiązałam snopy, plewiłam buraki. Poza tym bawiłam dzieci bolszewickie za jedno jajko tygodniowo. Matka pracowała w magazynie zbożowym, przebastało to jej siły. Aby wykonać normę musiały we dwie oczyścić wiatrakiem 20 ton zboża dziennie a przesiewały je wiadrami. Oczywiście nigdy nie wykonywała normy, więc otrzymywała mniejszą ~~na~~ rację chleba. Nie wiem skąd matka brała tyle siły, nie ugięła się - zaczęła pracować społecznie jako przewodnicząca Związku Patriotów Polskich. Pisała listy do władz i do ojca o naszej sytuacji. Wywalczyła to, że polskim rodzinom wojskowym przydzielono "pałok" - cukier, sól, kaszę. Było tego niewiele, bo tylko po kilka dkg ale i tak stanowiło kolosalną pomoc. Po żywność tą chodziłam 25 kg w jedną stronę.

Pamiętam jak matka napisała do ojca, będąc na skraju wytrzymałości, że jeżeli ojciec w jakiś sposób nie pomoże to ona otruje nas i siebie.

Na Syberii oprócz nas znajdowali się zesłani Litwini, stosunki między nami układały się bardzo pomyślnie. Był tak lekarz litewski, który służył pomocą jak mógł, często ograniczała się ona tylko do dobrej rady ale i to podtrzymywało człowieka na duchu. On, tak jak i my, był więźniem.

Ludność miejscowa na Ukrainie była do nas nastawiona przyjaźnie, tylko władze robiły jakieś trudności - mnożyły się rewizje. Nie wiem jednak czego szukali, gdyż byłam jeszcze dzieckiem. Spędziliśmy tam półtora roku.

Po zakończeniu wojny odnaleźliśmy ojca, który napisał nam, że władze polskie starają się o przyjazd wszystkich Polaków i kazał cierpliwie czekać. W roku 1946, w maju, zorganizowano transport w Woroszyłowgradzie. Był on duży, liczył 35-40 wagonów. Transport nasz przyjechał do Stargardu Szczecińskiego - wszystko tam było zniszczone. Znaleźliśmy jednak mieszkanie, matka podjęła pracę na poczcie, my, zaś poszliśmy

do szkoły. Po niedługim czasie przyjechał po nas ojciec, który objął gospodarstwo rybackie w powiecie milickim i zabrał nas tam. W Miliczu ukończyłam szkołę średnią. Nie mogłam jednak wybaczyć "przyjaciołom" sześciu lat wyrwanycjch z mego życia. Po zdaniu matury dostałam się na Akademię Medyczną. I tu dopadły mnie ręce ubeków, po ukończeniu przeze mnie pierwszego roku zaczęli za mną chodzić. Mówili mi ciągle, że muszę się odwdzięczyć Związkowi Radzieckiemu. Gdy pytałam: "Za co?", odpowiadano mi: "Za to, że żyjecie!". Gdy miałam kolokwium lub egzamin to zabierano mnie na ul. Podwale /we Wrocławiu/ i tam odpowiednio szkolono. Mężczyzna w wieku 40-45 lat wkładał mi palce między drzwi a futrynę i namawiał do pracy w UB ~~z~~ - w podzięce za 6-letnią gehennę mego życia. Miałam sypać kolegów i koleżanki z roku, co mówią na Związek Radziecki. Nie byłam do tego stworzona i w końcu ze wszystkiego zrezygnowałam. Zwierzałam się z tego tylko ojcu, namawiał mnie do wytrwania ale w końcu nie dałam rady.

Wyszłam za mąż, mam dwie córki, przepracowałam w Polsce Ludowej 19 lat. Teraz jestem wrakiem człowieka - mam uszkodzony kręgosłup, chore nogi.

Chciałam przytoczyć jeszcze urywki wierszy autorstwa Matki mojej, która wpajała nam patriotyzm i równocześnie nienawiść do "przyjaciół":

Smutna sosna u jeziora
Kąpie swój żęłosny włos
My z Sybiru co wieczora
Słem do kraju z wiatrem głos.

Tam ja znałam każdą chatę
Każdy krzaczek, każdy gaj
Tutaj życie jest ponure
Woła dō nas gdzie nasz kraj

Boże Ojczyźnie coś jest w niebie
Siłę w Armii polskiej wzbudź
Daj zwycięstwo, błagam Ciebie

Do Ojczyzny wróć nas, wróć.

10 luty będziemy pamiętać

Przyszli Sowieci, gdyśmy jeszcze spali

I nasze dzieci na sanie wsadzili

Na główną stację nas odprowadzili

Ach, smutna była nasza karawana

Kipiatku z chlebem dali nam co rana -

Dzieci zmarznięte z sani wypadają

A na noclegach umarli zostają.

O Polsko nasza - ziemię nasza święta

Gdzie Twoje syny - gdzie Twoje Orłeta

Dzieci Twe Polsko - na Sybir wjechały

Czy Ciebie kiedy będą oglądały.

Wrocław, lato 1989.